NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 148·20 Marek, Półrocznie 296·40 Mk. Rocznie 592·80 Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 3 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 4·—, za wiersz nonpareillowy, jednoszpaltowy 6 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 15 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 12 Marek.**

Rok XVIII. Kraków, 19 lutego 1921. Nr. 8.

Lud polski przeciw bandytom



Samosąd włościan nad bandytami w Korzkwi pod Ojcowem.

Lud polski przeciw bandytom.

(Do illustracyi tytułowej).

Stosunki, wytworzone dzięki wojnie, stały się dla wielu ciemnych jednostek odpowiednim podłożem do rozwinięcia zbrodniczej działalności, mającej na celu zapewnienie sobie dobrobytu, choćby nawet z krzywdą i szkodą innych. Jest to zwykłe zresztą następstwo każdej wojny, która nigdy nie przyczyniała się do podniesienia cywilizacyi i kultury, owszem wpływała na nią zawsze w wysokim stopniu obniżająco. Lat całych trzeba na naprawienie tego złego, jakie wojna społeczeństwu wyrządziła.

Kraj nasz znajduje się pod tym względem w daleko gorszych warunkach, niż inne. Przez siedm lat z rzędu były nasze ziemie nieustannym terenem walki, łupił wróg, pomagali mu ci, którzy starali się zawsze korzystać z zamącenia wody, dla tem łatwiejszego i obfitszego dla siebie połowu. Poza tem zmiana stosunków politycznych i tworzenie się młodego organizmu państwowego wpłynąć musiały na pewne wzmożenie się wewnętrznego nieładu i rozstroju. Pod tym względem ziemie dawnego Królestwa Polskiego i za czasów pokojowych pozostawiały wiele do życzenia. Na rachunek rewolucyonistów, walczących z rządem carskim, operowały bandy opryszków, trapiąc spokojną, a przeważnie pozbawioną opieki ludność zwłaszcza wiejską. — W czasie wojny stosunki te pogorszyły się znacznie, obecnie pozostawiają jeszcze bardzo wiele do życzenia, powoli wchodzi jednak życie społeczne na normalne tory.

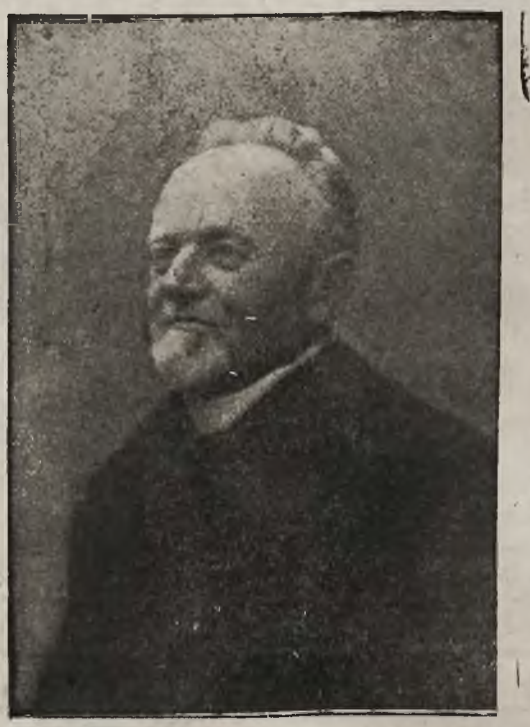
Już przed wojną teren nadgraniczny należał zawsze do najniespokojniejszych. Dla bandytów nie istniały słupy graniczne, plądrowali z jednej ich strony i drugiej. Gdy niebezpieczeństwo groziło, umieli się przedostać przez granicę, utrudniając w ten sposób pościg za sobą.

Zgnębiona wojną ludność pragnie natomiast spokoju i ochrony swego życia i mienia. Nowo powstała organizacya Policyi państwowej tępi wprawdzie bandytyzm, a sądy karzą bardzo surowo przychwyconych na gorącym uczynku, nie odstrasza to jednak amatorów cudzej własności, siejących w niektórych zwłaszcza okolicach, prawdziwy postrach i panikę. Ludność broni się też i sama, a biada bandycie, który dostanie się jej w ręce.

Miejscem, gdzie ludność wiejska wymierzyła sobie sama sprawiedliwość, ująwszy bandytów, którzy tam zagościli, była wieś Korzkiew, nieopodal Ojcowa, więc w niewielkiem oddaleniu od dawnej granicy i od Krakowa.

O przebiegu zajścia informuje nas korespondent w sposób następujący:

W niedzielę 6 lutego w Korzkwi, gm. Czanowice, pow. Olkusz, wpadli złodzieje sami w pułapkę. Około godz. 11 przed południem, podczas kazania, zauważono czterech mężczyzn, trzech cywilnych



Zgon najwybitniejszego działacza narodowego na Śląsku. S. p. Franciszek Michejda, pastor w Nawsiu na Śląsku Cieszyńskim.

i jednego w mundurze wojskowym, stojących opodal i wskazujących w toku rozmowy na plebanię. Wkrótce się rozeszli, dwóch poszło koło plebanii, dwaj weszli do zakrystyi, gdzie krytykowali kazanie miejscowego proboszcza, przemawiającego właśnie na temat grasujących kradzieży. Za chwilę wyszli w kierunku plebanii. Zachowanie ich zbudziło pewne podejrzenie, jeden więc z gospodarzy wyszedł za nimi. Gdy weszli do kuchni na plebanii, jeden z bandytów rzucił się na niego, chcąc go obezwładnić, jednak ten się wyrwał, wpadł do kościoła i wszczął alarm. Ludzie szybko pobiegli na zabudowania plebańskie. Jednego z nich Józefa Błachowskiego z Giebułtowa schwycili, gdy wskakiwał na płot, a drugiego między drzwiami, dwaj inni, strzelając i grożąc bagnetem, zbiegli w kierunku Giebułtowa. Tymczasem X. proboszcz Stanisław Sorwicn wysłał na koniu parobka na posterunek żandarmeryi w Ojcowie, oddalonego aż o 8 kilometrów. Tłum zapłonął chęcią doraźnej kary i dokonał samosądu.

Kułakowano ich i bito drągami, tak, że gdyby nie interwencya tutejszego kierownika szkoły, który polecił ich skrępować i zamknąć, rozszarpaliby ich na części. Zbici do niemożliwości, skrwawieni, zsiniali, legli pod ścianą stajni, jęcząc i wołając „Boga" na ratunek. Dopiero popołudniu przyszło czterech milicyantów z Ojcowa, a z drugiej strony jeden ze zbiegłych, Wojciech Nowak, przyprowadza swoich żandarmów z Giebułtowa ku obronie i odebraniu towarzyszy, z żądaniem ukarania bijących gospodarzy.

To już przebrało miarkę. Tłum udowodnił winę Nowaka, który sam wpadł w potrzask przez siebie nastawiony, co milicya z Ojcowa zabrała i jego. W ten sposób udało się złapać trzech niebezpiecznych bandytów, którzy byli postrachem dla okolicznych wsi.

Zgon najwybitniejszego działacza narodowego na Śląsku.

W ubiegłym tygodniu przyniosły telegramy ze Śląska Cieszyńskiego smutną wiadomość o śmierci sp. Franciszka Michejdy, pastora w Nawsiu. Sp. Zmarły należał do najwybitniejszych pionierów polskości na Śląsku Cieszyńskim, dewizą Jego była obrona interesów narodowych, której ze szkodą własnych swych interesów, pozostał wierny aż do ostatnich chwil swego życia. Łamy naszego pisma są za szczupłe, by módz dokładnie scharakteryzować Jego działalność, wystarczy zaznaczyć, że to czem jest dziś Śląsk, ma głównie do zawdzięczenia pastorowi Michejdzie. Przez śmierć Jego poniosło społeczeństwo polskie na Śląsku stratę wprost zastąpić się nie dającą.

Jeden z najstarszych przywódców ludu polskiego na Śląsku, jeden z organizatorów ruchu narodowego, żyjący życiem całej Polski, polityk o pokroju męża stanu, był pastor Franciszek Michejda indywidualnością wybitną, która talentem i zasługą zapisała się zaszczytnie w historyi ruchu narodowego na Śląsku Cieszyńskim. Pracy swej nie ograniczał do duszpasterstwa, ale podejmował działalność wszechstronną. W Towarzystwie rolniczem śląskiem i Towarzystwach oszczędności, w „Macierzy śląskiej" i „Towarzystwie ewangelickiem", w „Sokole" i wszelakich podobnych organizacyach o charakterze narodowym, wszędzie pozostawiał trwały ślad swej działalności. Jedną z najwybitniejszych placówek jego pracy publicznej było dziennikarstwo. Przez długie lata wydawał „Przegląd Polityczny", „Rolnika Śląskiego", „Ewangelika" i „Przyjaciela Ludu". Był założycielem „Dziennika Cieszyńskiego" i jego najwierniejszym przyjacielem i współpracownikiem. Pastor Fr. Michejda tkwił w każdej pracy narodowej, a gdziekolwiek się znalazł, tam praca przeważnie na nim się opierała.

Jako gorliwy pastor swej parafii, spędził ś. p. Fr. Michejda 47 lat pracy w niezmordowanej służbie kościoła w Nawsiu.

Najboleśniejszym ciosem dla gorącego patryoty stało się oddzielenie parafii w Nawsiu od Polski i włączenie jej do Czechosłowacyi. Pod tym ciosem jednak się nie załamał prowadząc dalej wytrwale pracę narodową w zmienionych warunkach.

Sp. pastor Franciszek Michejda urodził się w Olbrachcicach na Śląsku Cieszyńskim w r. 1847. Gimnazyum kończył w Cieszynie, teologię ewangelicką w Wiedniu i Jenie. Był najpierw wikarym prot. w Bielsku, potem pastorem w Brygidowie pod Stryjem, a od roku 1874 pastorem w Nawsiu. Od grudnia 1918 roku był seniorem zborów ewangelickich na Śląsku Cieszyńskim.

Pogrzeb najpopularniejszego i najzasłużeńszego na Śląsku Cieszyńskim działacza narodowego odbył się we wtorek, dnia 15 b. m. przy nadzwyczajnie tłumnym udziale ludności polskiej z całego niemal Śląska Cieszyńskiego.

Spoczął na wieki w ziemi, w której obronie całe życie swe poświęcił.

Cześć Jego pamięci!



GENERAŁ INŻ.
EMIL GOŁOGÓRSKI

Z żałobnej kroniki.

W ubiegłym tygodniu zmarł w Warszawie jenerał Emil Gołogórski były dowódca D. O. G. krakowskiego, a ostatnio szef grupy technicznej wojsk polskich w Warszawie. Pochodził ze starej szlacheckiej rodziny polskiej. Urodzony 27 lutego 1862 r. we Wiedniu.

Już w szkołach celował zdolnościami i wytrwałą pilnością. Ukończył techniczną akademię wojskową (oddział inżynieryi) i wyższy kurs inżynieryi, odbył studya techniczne na wydziale budowy maszyn w technice wiedeńskiej, złożył egzamin na majora w sztabie inżynieryi.

Przydzielony kolejno do Dyrekcyi inżynieryi w Przemyślu, do 1. pułku inżynieryi, do Dyrekcyi inżynieryi w Krakowie, już na tych stanowiskach wiedzą i pracą na pierwszy plan się wybijał. Projektował i budował forty krakowskie Pękowice, Kosocice, Lasówka, umiejąc przytem połączyć obowiązki zawodowe z obywatelskiemi przez oddawanie robót i poparcie krakowskiego przemysłu i rękodzieła.

Współdziałał w pracach technicznego komitetu wojskowego. W roku 1903 dokonał wywiadu rosyjskich twierdz Królestwa Polskiego (Warszawa, Brześć, Dubno). Liczne prace z zakresu inżynieryi wojskowej przyjęto z uznaniem w kołach fachowców.

Przeszedł kolejno służbę piechoty najpierw w 93 p. p., następnie powierzono mu dowództwo 57 p. p. w Tarnowie i 23 brygady piechoty — wreszcie generalny inspektoryat saperów.

Na stanowisku komendanta przyczółka mostowego w Krems zastaje go wybuch wojny europejskiej.

Rychło otrzymuje komendę 8 brygady, później 4 dywizyi, którą w ofenzywnej kampanii w szeregu zwycięstw, aż do Sanu prowadzi.

Zachorowawszy wskutek trudów wojennych, wycofuje się chwilowo na stanowisko dowódcy przyczółka mostowego Pozsony, Dublina, a następnie otrzymuje w dalszym ciągu inpektoryat saperów. Wkrótce jednak potrzeba włoska stawia go na czele 10. dywizyi piechoty. W walkach nad Soczą, a przedewszystkiem w 12 ofenzywie austryackiej od Isonzo do Piavy jego talent strategiczny zajaśniał w całej pełni. Śmiałymi atakami forsuje przeprawy rzek nad Isonzo, Tegliamento, Livenzy i Piavy. Nad Tagliamento odciął odwrót południowego skrzydła armii włoskiej, naciskanej z północy przez korpus bawarski, przez zamknięcie przejścia pod Latisaną. Wziął do niewoli kilkadziesiąt tysięcy ludzi i ogromny materyał wojenny, czem przypieczętował los 12 ofenzywy. Jako dowódca 10 dywizyi i w zastępstwie dowódcy 23. korpusu prowadził walki obronne w ramionach Piavy delta.

Na pierwszą wieść o rozbiciu Austryi i tworzeniu się armii polskiej stanął w szeregach jej organizatorów. Rozkaz Naczelnego Wodza poruczył mu dowództwo krakowskiego okręgu jeneralnego, na którym to stanowisku rozwinął nader owocną i żywą działalność organizacyjną zyskując sobie ogólne uznanie i sympatyę. A zadanie to było nie łatwe, jeśli się zważy, że armia polska organizowała się dopiero, a Okręg Generalny krakowski znalazł się jak w kleszczach między frontem czeskim a ukraińskim. Zwłaszcza przy organizowaniu odsieczy dla Lwowa położył jenerał Gołogórski niespożyte zasługi. Jako wybitnego znawcę spraw techniczno-wojskowych powołano następnie jen. Gołogórskiego do Ministerstwa spr. woj. na stanowisko szefa sekcyi technicznej, do której rozwoju i należytego funkcyonowania bardzo wybitnie się przysłużył.

Pozostawia po sobie pamięć wytrawnego fachowca, dzielnego żołnierza, a przedewszystkiem dobrego Polaka, którym czuł się także i wtedy gdy zdobił go obcy mundur.



Pogrzeb bezimiennego bohatera: Manifestacyjna uroczystość pogrzebowa w Paryżu w dniu 27 stycznia b. r. w obecności członków Konferencyi pokojowej, przedstawicieli władz, wojskowości i nieprzeliczonych tłumów. Złożenie zwłok pod Łukiem Tryumfalnym.

Pogrzeb bezimiennego bohatera.

Paryż, a z nim cała Francya, obchodził w dniu 27 stycznia br. żałobną uroczystość, która zjednoczyła w tej chwili u stóp Łuku Tryumfalnego rodziców, krewnych, i przyjaciół żołnierzy poległych na polu walki, dotąd nie odszukanych.

Był to pogrzeb bezimiennego bohatera, który w obronie ojczyzny złożył swoje życie w ofierze w czasie ściśle określić się nie dającym, jak o tem świadczy napis na tablicy pamiątkowej, który brzmi:

„Tu złożono żołnierza francuskiego, poległego za Ojczyznę 1914—1918".

Zwykła płyta, proste słowa, wskazują na miejsce pochowania zwłok jednego z tych nieznanych bohaterów, którzy oddali życie „bezimiennie". Tak wybór miejsca, jak i sam przebieg uroczystości, która zmieniła się w prawdziwą manifestację narodową, stwierdzają, że miał to być wyraz hołdu, złożonego przez lud francuski wszystkim tym, których bohaterskie szczątki kryją zapomniane mogiły. Lata całe przeminą nim spokój ich naruszy pług rolnika, krający rolę, lub kilof. A są ich tysiące. między nimi zaś nie brak i takich, którzy dokonali cudów prawdziwej waleczności. W osobie tego jednego nieznanego żołnierza francuskiego, którego zwłoki spoczęły pod paryskim Łukiem Tryumfalnym, uczczono pamięć wszystkich bezimiennych bohaterów. Te tysiące, które towarzyszyły obchodowi, poświęciły też w tej chwili wspomnienia swym najbliższym, przepadłym bez wieści na którymś z frontów wojennych.

Przebieg uroczystości był skromny, a nadwyraz poważny. Wzięły w niej udział niezliczone tłumy, przedstawiciele władz wojskowych i cywilnych, oraz najwybitniejsi członkowie obradującej w tym czasie w Paryżu Konferencyi pokojowej. Nad grobem „anonima" przemówił minister wojny Barton, który również oddał Ojczyźnie jedynego syna. Złożył on w prowizorycznej kaplicy order Legii honorowej, medal wojskowy i Krzyż wojenny.

Po przemowie ministra zakończonej okrzykiem „*Vive la France*", zagrała muzyka Marsyliankę, żołnierze spuścili do grobu zwłoki nieznanego kolegi i przykryli je tablicą pamiątkową mającą świadczyć po długie wieki, że naród francuski umie czcić pamięć swych bohaterów. W sam dzień uroczystości i w dnie następne zdobiono grób obficie kwiatami. Znosili je ci wszyscy, którzy opłakują dotąd stratę kogoś z swych najbliższych poległych lub zaginionych w ciągu wojny światowej.

Z chlubnych kart VI. Dywizyi.

Bitwa pod Leszniowem.

Jedną z najpiękniejszych bitew i zwycięstw 12 p. p., świadczącej najwymowniej o dzielności, sile moralnej i harcie ducha, oficera i żołnierza polskiego, jest bitwa pod Leszniowem, stoczona przez dwa baony 12 p. p. z 6 szwadronami kozaków, baonem piechoty i dwoma bateryami armat.

W dniu 1 sierpnia 1920, o godzinie 7 rano rozpoczęła 6 Dywizya p. atak na Leszniów 12 pp., na Wytnicę 20 pp. i na kol. Wytnicę 65 pp. Najważniejsze zadanie otrzymuje 12 pp. Jeden baon (II) ma oddać do dyspozycyi Dywizyi Jazdy płk. Rumla, a dwoma baonami uderzyć wprost na Suczków, kol. Kowalówkę i zdobyć Leszniów, Szczurowice i obsadzić przeprawę przez Styr, odcinając w ten sposób odwrót bolszewickiej kawaleryi walczącej po zachodniej stronie Styru.

Maj. Alter, dw. pułku, wydaje krótkie uzupełniające rozkazy i po 5 min. ogniu artyleryjskim na las na poł. od przedmieścia Beresteczka, Piesok, rusza I. baon jako awangarda w nakazanym kierunku.

Las zajmuje bez oporu. W Suczkowie dopiero napotyka na oddział kozaków, który po krótkiej a zaciętej walce rozbijają, 1, 2 i 3 komp. zajmując



Pogrzeb bezimiennego bohatera: Przeniesienie zwłok nieznanego żołnierza francuskiego w Paryżu z tymczasowego grobowca na miejsce wiecznego spoczynku.

Suczków. Nieprzyjaciel wycofuje się spiesznie na wzgórza na północ od Leszniowa i tam zatrzymuje się w dawnych austr. rowach strzeleckich.

Atak I. baonu nie zatrzymuje się, z nieporównaną siłą idzie dalej i dalej, pomimo iż dosyć gęsto padają tu i ówdzie zabici. Kompanie śp. kp. Narkowicza, kp. Kubickiego, ppor. Kieconia zdobywają wspomniane wzgórza, obsadzając je, opanowują przeprawę w Szczurowicach i odcinają odwrót cofającej się na Leszniów bolszewickiej jeździe.



Z chlubnych kart IV. Dywizyi: Major Franciszek Alter, dowódca 12 p. p.

Teraz dopiero zaczęła się zacięta, mordercza walka. Pułk znalazł się bez łączności z sąsiedni mi oddziałami na lewej swej flance, które nakazanego celu nie osiągnęły. Nieprzyjaciel rozpoczyna szereg kontrataków i szarż kawaleryjskich, przeprowadzonych przeważającemi trzykrotnie siłami, przy poparciu własnych dział. Żołnierz z 12 pp. mimo huraganu pocisków z zajmowanej pozycyi się nie ruszył, ale za każdym razem zasypał celn mi salwami szarżujące watachy Budienego, które straciwszy kilkudziesięciu ludzi i koni w zabitych cofnęły się do Leszniowa i Kossowa.

Przy czwartym z rzędu nieprzyjacielskim kontratakn, major Alter rozkazuje zaatakować i zdobyć Leszniów, a sam osobiście otwiera atak na lewym skrzydle pułku.

2 i 3 część 4 kompanii w morderczym ogniu nieprzyjacielskich dział ruszają naprzód i po zaciętej godzinnej walce opanowują Leszniowem, zaciecie do ostatniej chwili bronionym.

Nieprzyjaciel po 5 ciu jeszcze daremnych atakach mających na celu odebranie Leszniowa, straciwszy sto kilkudziesięciu zabitych i rannych cofnął się do Kossowa i do lasu na południe od Leszniowa, a pułk odnosi całkowite zwycięstwo, zabiera jeńców i materyał.

Zdobywcy powietrza.

To, co lat temu trzydzieści wstecz, wydawało się mrzonką, zrodzoną jedynie w bujnej fantazyi powieściopisarzy, przybrało dziś zupełnie realną postać. Możemy rozmawiać na odległość, zdobyliśmy powietrze, kapitan Nemo i jego *Nautilus* z powieści Vernego nie przedstawiają się nam tak cudownie, jak wówczas, gdy o łodziach podwodnych nikt nawet nie myślał. Rychło patrzeć, jak spełni się jeszcze jedno z opisywanych przez Vernego przedsięwzięć... podróż na księżyc, wprawdzie nie w pocisku armatnim, lecz daleko wygodniej i z zabezpieczeniem sobie powrotu, na samolocie.

Duch ludzki nie ustaje w pracy nad zdobyciem dla siebie coraz szerszych horyzontów i nowych pól działania. W tem poszukiwaniu za nowością nie przeszkadzała mu nawet wojna, w niektórych kierunkach nawet dopomogła.

Do ich rzędu należy właśnie awiatyka, która w prowadzeniu nowoczesnej wojny odegrała bardzo poważną rolę. A pomysłowość ludzka nawet i we wojennym czasie siliła się na coraz to nowe wynalazki i ulepszenia w tej dziedzinie. Odtąd prowadzi się wojny na lądzie, wodzie i w powietrzu.

Rozwojem awiatyki zajmują się bardzo żywo koła sportowe całego świata. Samoloty ulepszono do tego stopnia, że można prawie zupełnie bezpiecznie odbywać napowietrzne podróże, między niektórymi krajami zaprowadzono już regularną komunikacyę powietrzną, połączoną z ogromną oszczędnością na czasie. A hasłem dzisiejszego społeczeństwa jest przecież „czas, to pieniądz".

Fachowe pisma, zajmujące się baczcie śledzeniem postępów w tej dziedzinie sportu, notują bardzo skrupulatnie wszelkie nowe w tym kierunku zdobycze i nie zapominają o podaniu do publicznej wiadomości o brawurowych czynach lotników, graniczących niejednokrotnie z szaleństwem, narażających na szwank ich zdrowie i życie. Smutny przykład kolegów nie odstrasza innych od naśladownictwa, owszem dodaje bodźca do spróbowania szczęścia w jeszcze bardziej karkołomnych przedsięwzięciach.

Do nich należy amerykański lotnik A. L. Wilsom, obecnie, po śmierci por. Loekleara, najsławniejszy z amerykańskich zdobywców powietrza. Choć dopiero od r. 1913 poświęca się lotnictwu, potrafił doprowadzić już do takiej perfekcyi i pewności siebie, jaką poszczycić się może rzadko który z zawodowych kolegów. Jest on mistrzem w spiralnych opadach, poza tem nie są mu obce i inne niebezpieczne sztuczki, na których widok z obawy o jego życie dech zamiera w piersiach patrzących. Świadczy o tem zamieszczona w niniejszym numerze illustracya, przedstawiająca Wilsoma podczas swych manewrów na aeroplanie, znajdującym się w pełnym locie. Wystarczy lekkie wstrząśnienie, aby utracił równowagę i runął na ziemię z wysokości kilkuset metrów.

Ta brawura i to igranie z życiem jest też powodem tak częstych katastrof w dziedzinie lotnictw.



Z chlubnych kart IV. Dywizyi: Kapitan Władysław Kulma dowódca II. b. 12 p. p.



Zdobywcy powietrza: Amerykański lotnik L. A. Wilsom podczas swych brawurowych popisów na szybującym w powietrzu aeroplanie.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA:
MARYA TOCZYSKA

31 I.

— On widział cię umarłą, Maryo! Ja go nie oszukiwałem wcale!

— Nędzniku! Podły nędzniku! Popełniłeś zbrodnię, posługując się szatańską wiedzą twoją...

— Maryo! jestem Mistrzem! Danem mi jest czynić wszystko co zechcę.

— Nie wszystko! zaprzeczyła żywo.

— Wszystko!

— Nie potrafisz zmusić do miłości tych, którzy cię nienawidzą — wyrzekła rzucając mu wyzywające spojrzenie.

— Maryo! Nie drażnij mnie!

— Nie możesz uzyskać kobiety, która pogardza tobą! — krzyknęła tracąc już moc panowania nad sobą.

— Maryo! krzyknął tak strasznym i groźnym głosem. że cofnęła się wylękła o parę kroków.

— Bóg jest wielki i sprawiedliwy! wyrzekła z mocą.

Markus Henner zaśmiał się drwiąco.

— Johan Straube umarł, tak, to prawda! przemówiła znowu kobieta. Ale ja nigdy nie byłam twoją, bo cię zawsze nienawidziłam! Piętnaście lat więzienia, w ciągłej, wzrastającej nienawiści. Piętnaście lat spędzonych w ciągłych ucieczkach, w ukrywaniu się po różnych, najodleglejszych krajach! Piętnaście lat bez domowego ogniska, bez ojczyzny, zdala od tych, których kocham, w mocy twojej Markusie, ale nigdy twoja! Nigdy! nigdy! dajesz mi królewskie mieszkanie, służbę, niewolników, wspaniałe suknie, ale ja pogardzam twojem bogactwem i zbytkiem, nie mieszkam w królewskich komnatach, które dla mnie przygotować kazałeś, zadawalniam się tą nędzną klasztorną celą! Nie stroję się w aksamity i w jedwabie ofiarowane mi przez ciebie — prosta, biała szata wystarcza mi zupełnie. Nie rozkazuję służbie twojej, bo to są szpiedzy opłacani przez ciebie!

Markus Henner nie spuszczał z oczu Maryi. Głos jej, zrazu silny, gasł stopniowo, jakgdyby już jej sił do dalszej walki brakować zaczęło. Od czasu do czasu nawet, spojrzenie jej harde i wyniosłe kryło się pod zmęczonemi powiekami, ciało jej przebiegały lekkie, urywane dreszcze, w końcu zachwiała się lecz walcząc ostatkami sił przed ogarniającem ją osłabieniem, wyprostowała się i rzuciła mu jeszcze w twarz dyszącym, urywanym głosem:

— Możesz mnie więc więzić, otaczać szpiegami, możesz czuwać nademną jak nad człowiekiem na śmierć skazanym... nie zmusisz mnie do miłości... nie pokocham cię nigdy.

Ale już pod magnetyczną siłą wzroku Markusa Hennera, głos jej rwał się coraz więcej, dziwna omdlałość rozlała się po jej twarzy, oczy jej przymykały się zamglone, nieprzytomne prawie, wargi drgały kurczowo.

Markus Henner uśmiechnął się tryumfująco, postąpił krok naprzód i wyciągnął rękę. Marya zachwiała się całym ciałem i byłaby runęła na podłogę, gdyby ją nie był podtrzymał silnem ramieniem.

Wtedy garbus kilkakrotnie przesunął palcami po jej skroniach pobladłych, skurcz bólu przebiegł twarz kobiety, lecz wyraz ten zniknął prawie natychmiast, rysy jej wypogodziły się, przeobraziły się zupełnie i zastygły w wielkim spokoju i nieruchomości.

Twarz jej piękna, lecz zniszczona cierpieniem odzyskała teraz dawną młodość swoją, miły, pogodny uśmiech zozchylił jej zaróżowione wargi.

Kiedy Markus Henner przekonał się, że nic już teraz nie zbudzi jej z uśpienia, w które ją pogrążył, szybko uniósł ją w ramiona i zaniósł do sypialnego pokoju, gdzie ostrożnie ułożył na miękkiej kanapie. Poczem ukląkł na puszystym dywanie, który rozciągał się po całej podłodze i lekko głaszcząc rozrzucone włosy kobiety, zawołał łagodnym, przyciszonym głosem.

— Maryo!

— Czego chcesz Markusie — odpowiedział głos stłumiony jakgdyby brzmiący z oddali.

— Czy ty mnie słyszysz?

— Słyszę cię.

— Rozumiesz mnie?

— Rozumiem cię Markusie.

— Wiesz czego żądam od ciebie?

Cień jakiś przebiegł po twarzy uśpionej.

— Wiesz czego żądam od ciebie — powtórzył Markus Henner nakazująco.

— Wiem — wyrzekła kobieta po chwilowem milczeniu.

— Co to jest?

— Chcesz, Markusie Henner - odpowiedziała z widocznym trudem wymawiając słowa, abym ci dała miłość moją.

— Czy jesteś gotowa być mi posłuszną?

Głębokie westchnie wybiegło z ust uśpionej.

— Tak — wyrzekła słabym głosem.



...Szybko uniósł ją w ramiona i zaniósł do sypialnego pokoju...

Szatański uśmiech tryumfu wykrzywił ohydną twarz garbusa. Więc jeszcze raz udało mu się odnieść zwycięstwo nad wolą tej kobiety!

— Więc się zgadzasz? zapytał jeszcze pochylając się nisko nad nią.

— Tak.

— Czy wyrzekasz się swojej nienawiści do mnie! Uczyń wysiłek nad samą sobą i odpędź to uczucie. aby mi być posłuszną. Wyrzekasz się — odpowiedz!

Twarz uśpionej pobladła silnie: potrząsnęła głową jakgdyby ją chciała uwolnić od uroku hypnotycznego, który ciężył nad nią. Lecz Henner natychmiast kościstymi palcami silnie przycisnął jej skronie.

— Wyrzekasz się? Wyrzekasz? powtórzył z naciskiem.

— Wyrzekam!

— Ah! — zawołał z okrzykiem głębokiego zadowolenia.

Pochylił się jeszcze niżej i szeptał rozkazująco i z p zejęciem.

— Musisz mnie kochać, słyszysz? Ujarzmij serce swoje, które broni się jeszcze. Przyjmij w siebie wolę moją, odczuj władzę, którą narzucam ci!

Wymawiając te słowa, garbus miał w zielonych swoich oczach i przenikliwym głosie taką siłę i moc nieprzebraną, że zdawało się, że jakiś geniusz demoniczny przemawiał przez niego.

Marya blada, bez życia i oporu leżała bezwładnie, ulegając zupełnie urokowi tego strasznego człowieka.

— Czy kochasz jeszcze Johana Straube? zapytał jeszcze wybuchając drwiącym śmiechem.

— Nie — odparła po chwili wahania.

— Wyrzuciłaś go ze swego serca?

— Wyrzuciłam.

— Zapomniałaś o nim?

— Jeżeli zechcesz, to zapomnę.

— Kochasz mnie? szepnął wlepiając w nią gorejące źrenice.

— Kocham — odpowiedziała kobieta słabym głosem.

— Powtórz to!

— Kocham cię!

— Jak?

— Bardzo.

— Kochasz mnie tylko jednego?

— Ciebie jednego.

— Czy podobam ci się?

— Tak.

— Czy nie widzisz mnie brzydkim, odpychającym, ułomnym?

— Nie.

— Więc jestem dla ciebie pięknym i pociągającym?

— Tak.

Wyraz strasznego bólu rozlał się po zmartwiałych rysach Maryi, wywołując okropne przekleństwo z ust Markusa Hennera.

— Powiddz mi raz jeszcze, że mnie kochasz! — nalegał.

— Kocham cię.

— Na zawsze?

— Na zawsze...

— Musisz mnie nietylko kochać ale i uwielbiać, słyszysz?

— Uwielbiam cię.

— Daj mi więc pocałunek — rozkazał zduszonym głosem.

Nerwowe drżenie przebiegło przez ciało uśpionej, która zdawała się buntować na ten wstrętny dla niej rozkaz.

— Daj mi pocałunek — rozkazał powtórnie ściskając rękami jej skronie.

— Ale oczekiwany przez niego spokój nie złagodził twarzy kobiety. Nerwowe drżenie zaczęło się przemieniać w konwulsyjne torsye.

— Boże mój! boże! jęknął rozpaczliwie Henner zaciskając pięście z wściekłością — więc nawet we śnie nienawidzieć mnie będzie?

Po chwili jednak przystąpił do hypnotycznych swoich działań, podniecony, wściekły, gotów wszelkimi sposobami do przełamania tej woli, która mu się zwycięsko opierała.

Z oczami utkwionemi w twarz Maryi nacierając umiejętnie jej skronie wymówił raz jeszcze.

— Daj mi pocałunek — słyszysz?

Kobieta uniosła się dwukrotnie, jakgdyby chciała wypełnić rozkaz narzucony, lecz za każdym razem opadła na poduszki kanapy w okropnym ataku konwulsyi.

— Bóg sam tego nie chce! krzyknął Markus Henner nieprzytomny z gniewu, ale ja będę silniejszy od Boga! Długie jego palce zacisnęły się kurczowo wokoło skroni kobiety, oczy jego rozbłysły jak dwa rozżarzone węgle i z całej siły rzucił jej w twarz po raz czwarty ostateczny, rozpaczliwy rozkaz!

— Daj mi pocałunek, Maryo!

Wówczas stała się rzecz przerażająca. Ciało kobiety pogrążone w śnie hypnotycznym, zwalczone straszną sugestyą i niewolniczo już poddane władzy tego człowieka, zadrgało silnie i uniosło się nadludzką poruszone siłą. Cała postać wyprostowana, sztywna, zda się wyolbrzymiała w jednej chwili, widmowa, potężna o białej szacie spływającej w grubych fałdach aż do stóp. I oczy uśpionej rozwarły się nagle, rozszerzone, szklane, bez wyrazu, a usta wyrzuciły z piersi okrzyk wstrząsający.

— Nie! nie! morderco!

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

3

I.

Na sali wybuchł teraz grzmot oklasków — operetkowa pół gwiazda z Krakowa na żądanie zebranych powtórzyła jeden z pikantnych kupletów i w piruetach, skłoniwszy się wdzięcznie zniknęła za kotarą estrady.

— Dużo pieniędzy wzięła — zauważyła Gawlikowa — ale zabawić gości umie, nie ma co mówić. Nie wiem jak zrobić z kolacyą, czy ją posadzić do stołu i tego aktora także i skrzypka?

— A jakże mama myślała — oburzyła się Kazia — w kuchni nie można kazać podać!

— Eh! ty zaraz się złościsz! W kuchni!!! Przecież taka głupia nie jestem. Ale może te panie z pensyonatu źle to przyjmą. Do jednego stołu ich posadzić z temi obywatelkami z Podola?

— To one przyjęły zaproszenie?

— Przyjęły w ostatniej chwili.

— A widzi mama! Przestały się boczyć!

— Przekonały się przecież, że nie z byłejaką hołotą mają do czynienia — zauważyła Gawlikowa z dumą i powagą.

— Więc też nie wiem jak zrobić z tymi aktorami, żeby je nie urazić i nie pokazać się bez wychowania.

— Moja mamo — zadecydowała stanowczo Kazia. — Do kolacyi zasiądą wszyscy razem. Inaczej nie może być...

— Ale moja Kaziu — próbowała jeszcze oponować Gawlikowa.

— Niech mama da już spokój. — Ja wiem lepiej od mamy co wypada, a co nie...

— A i to racya — przytaknęła zgodnie Gawlikowa. — Ty się więcej obracasz między ludźmi i w książkach siedzisz...

— Oczywiście, a mama z gospodarstwem ma do czynienia. Otóż niech mama wie, że nawet w wielkim świecie przyjęte jest już teraz, że artyści na równi są uważani ze wszystkimi.

— Doprawdy?

— A jakże. Po dworach cesarskich nawet dopuszczają ich do wspólnego stołu. I niechże mama wie, że to właśnie należy do najlepszego tonu.

— Musi tak być, skoro ty Kaziu mówisz — zgodziła się Gawlikowa — ale mnie się to, przyznam ci się, nie bardzo podoba, aby takie hecarki...

— Mama doprawdy jest nieznośna z tem swojem zacofaniem — oburzyła się Kazia. Niechże się mama przy kim z czemś podobnym nie wyrwie, bo wstyd gotowy.

— No, dobrze już, dobrze Kaziu — uspakajała ją Gawlikowa. Zrobię jak powiedziałaś.

— Mama chyba nie wie, że tym skrzypkiem, co dzisiaj gra u nas interesuje się jedna wielka pani z Poznania, hrabina i on jest u niej w domu tak przyjmowany jak syn rodzony.

— Ten żyd? — zdziwiła się niedowierzająco Gawlikowa.

— To już nie jest dzisiaj żaden żyd! To inteligentny, postępowy człowiek. — Uniosła się Kazia. — Talent dzisiaj znaczy tyle co majątek. On nam zrobił dziś wielką grzeczność, że się zgodził grać u nas.

— Co ty mówisz!

— Jego rozchwytują po wszystkich domach, zapraszają. Powiem nawet mamie, że jest w modzie między pannami kochać się w nim sezonowo...

— Eh, Kaziu, czy to być może?...

— Niechże się mama sama przekona, jak go witać będą, jak wejdzie na estradę. Mówiła mi tutejsza pokojowa, że z jednego tu pensyonatu to mu ciągle panie bukiety posyłają.

— Dziwne rzeczy dzieją się na świecie, bardzo dziwne — szepnęła zamyślona Gawlikowa.

— Nie dziwne, tylko bardzo zwyczajne — odparła bardzo żywo Kazia. — Mówiłam już mamie, że teraz pieniądze coś znaczą i talent. A z talentem to także różnie bywa. Ten jest pierwszy, kto potrafi podobać się publiczności i stać się modnym, a właśnie ten skrzypek jest teraz w modzie, więc go lekceważyć nie można.

Dalsze słowa Kazi zagłuszył nowy, huczniejszy jeszcze grzmot oklasków.

Na estradę wszedł powolnym, wystudyowanym krokiem niecierpliwie oczekiwany skrzypek.

Na drobnej jego figurze, niepokalanej świeżości frak leżał bez zarzutu, u gorsu śnieżnej koszuli błyszczały perły, a lakierowane trzewiki na wysokich obcasach lśniły się jak lustro.

Niedbałym, obliczonym ruchem odrzucił z czoła gęstą, długą, czarną czupryne i uśmiechając się pobłażliwie lekkim ukłonem dziękował za przyjęcie.

— No widzi mama — szepnęła z podnieceniem Kazia, wpatrzona w drobną, lalkowatą sylwetkę skrzypka. — Jeszcze go goręcej oklaskują niż tę śpiewaczkę.

— A no — orzekła sentencyonalnie Gawlikowa — musi on tam być nie pierwszy lepszy, bo się dyabelnie targował z Markiewiczem jak go zamawiał.

— Umie się cenić — rzuciła krótko z wielką pewnością siebie Kazia.

Z estrady płynęły teraz lekkie, perliste dźwięki „Humoreski" Dworzaka. Skrzypek grał z wielką wprawą i talentem, chociaż nie zaślepiony obserwator byłby łatwo spostrzegł, że w całem zachowaniu się i w twarzy, która przybrała teraz skupiony, natchniony wyraz, było dużo sztucznej pozy obliczonej na efekt.

Gawlikowa. którą wykonanie muzyczne wcale nie interesowało, znowu zaczęła się rozglądać po sali z wyniosłością monarchini, która przez kaprys uraczyła swoich dworzan iście królewską rozrywką. Mimowoli spojrzenie jej padło w stronę drzwi, w których od chwili stał Franciszek, czyniąc dyskretne ruchy w celu zwrócenia na siebie jej uwagi.

— A ten co znowu chce odemnie — pomyślała z niezadowoleniem. Niby taki pański służący a bezemnie obejść się nie może.



...po krótkim czasie Gawlikowa blada, niespokojna, powróciła do drzwi. trzymając jakiś papier w ręce....

— Muszę wyjść — szepnęła do Kazi — ten stary nudziasz tam na mnie kiwa. Pewnie coś po głupiemu zrobili.

— Niech mama idzie, tylko proszę nie robić hałasu — odszepnęła Kazia. — Także się wybrał, w takiej chwili przeszkadzać. Stary bałwan!

I nie zwracając więcej na matkę uwagi, odwróciła się zapatrzona w estradę.

Tak była zaabsorbowana skrzypkiem, któremu po każdym przegranym kawałku słuchacze wprost owacyę robili, że nie zauważyła wcale, jak po krótkim czasie Gawlikowa blada, niespokojna, powróciła do drzwi trzymając jakiś papier w ręce i przyzywała ją rozpaczliwymi ruchami.

Dopiero gdy ktoś z bliżej siedzących zwrócił jej na to uwagę, Kazia niechętnie się podniosła i zachmurzona podeszła do matki.

— Co znowu mama wyrabia? — rzuciła poirytowana. Jakże można się tak zachowywać podczas koncertu. Ładne wyobrażenie będą mieć o mamie!

— A niech sobie myślą co chcą! — odrzekła ze wzburzeniem Gawlikowa. — Chodź prędko! Stało się jakieś nieszczęście. Jest telegram od ojca!

— Od ojca? powtórzyła niespokojnie Kazia, dając się pociągnąć matce.

Dopiero gdy znalazły się w pokoju Gawlikowej, Kazia spostrzegłszy bladość matki zaniepokoiła się na dobre.

— Co się stało? Co za telegram? Co w nim jest? — zapytała drżącym głosem. — Czyżby hrabia Gucio?

— A czy ja wiem o co chodzi! — wybuchnęła rozpaczliwie Gawlikowa. — Masz! Czytaj! Może ty będziesz z tego mądra.

Kazia wzięła depeszę i urywanym głosem czytać zaczęła:

— „Wypowiedzieć mieszkanie i wracać pierwszym pociągiem".

Gawlik.

— Co to ma znaczyć, mój Boże — jęknęła Kazia. — Dlaczego ojciec każe nam wracać! Co się tam dzieje?

— Może zachorował — podsunęła Gawlikowa.

— Toby napisał! Tam musi być co innego. — Ale co? co?

— Może ten twój hrabia — zaczęła znowu Gawlikowa.

— Co też mama mówi — rzuciła się Kazia. — Że nie przyjechał dzisiaj, to jeszcze nie dowód, że zrywa! Boże, mój Boże! — wołała, biegając niespokojnie po pokoju. — Co teraz robić! Tegoby tylko brakowało, żeby mi ta Wikta do reszty życie zatruła. Ja bym takiego wstydu nie przeżyła! To przecież okropna rzecz! Ale nie! nie, to nie to! Tam coś innego musi być. Ojciec by napisał nie wzywał telegraficznie! Co teraz robić! Co robić! Zabawa w całej pełni! Do kolacyi siadać za chwilę mamy. To okropne!

— Czekajno — przyszła myśl Gawlikowej. — Franciszek może coś wie. Przecież dopiero przed dwoma dniami przyjechał z Krakowa. Lecę go zawołać.

Za chwilę powróciła prowadząc za sobą starego.

— Nic się od niego dowiedzieć nie można — sarknęła ze złością. — Powiada, żeby jechać, to się na miejscu dowiemy.

— A pewnie proszę panienki, innej rady ja nie widzę. Musi tam być nie dobrze, kiedy pan telegrafuje o powrót. Teraz to wszystkiego spodziewać się można.

— Ale czego? czego — nalegała Kazia.

— Ano wiadomo, kto z ogniem się bawi, to i sparzyć się może.

(Ciąg dalszy nastąpi)

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM I.

25

Barondi klasnął w ręce, Ajonb się ukazał, i po otrzymaniu od swego pana rozkazu, w nubijskim języku, wyszedł spiesznie. Mrs. Armine naciągnęła drugą rękawiczkę.

— Muszę wracać do domu — rzekła.

Poruszyła się żeby wstać, lecz została wstrzymaną wejściem szczupłego człowieka ubranego w rodzaj worka, jak się zdawało, z nagiemi ramionami, szyją i nogami, z wąska, śpiczastą, łysą głową, z kosmykami czarnych włosów spadającemi na ramiona. W prawym, prawie czarnem ręku trzymał pałeczkę z palmowego drzewa, i z wyrazem tajemniczości, połącznej z chytrością zaczął się czołgać pod ścianami pokoju, gwiżdżąc i bełkocząc, podnosząc i schylając głowę.

Wchodząc, rzucił przenikliwe spojrzenie na Mrs. Armine, lecz teraz zdawał się zupełnie zapominać o jej obecności, i być pochłoniętym swem dziwnem niewytłómaczonem zajęciem. — Okrążywszy w ten sposób kilka razy pokój nagle się zatrzymał, ujął z pod swego brudnego ubrania, torbę z wypłowiałej skóry wykrzyknął kilka słów donośnym głosem, podskoczył w górę, tak, że dotknął pałeczką sufitu.

Długi wąż spadł do otwartej torby. Mrs. Armine wydała okrzyk zdziwienia, lecz nie strachu. Nie bała się wężów. Derwisz zaczął się znowu czołgać, jak poprzednio, wykrzykując jakieś wyrazy, i uderzył w ścianę. Drugi wąż spadł lub wydawało się, że spadł z pomiędzy fałdów jedwabnych draperyi, do torby.

I znowu się czołgał, wykrzykiwał, stukał i dostał nowego gada. Poczem wbiegł mały, ciemno-oki chłopiec, i po saalamach, derwisz i chłopiec, przy towarzyszeniu dzikiej muzyki, grającej na dworze, rozpoczęli różne sztuki kuglarskie, i taniec wężów, widowisko rozpowszechnione na Wschodzie, a zawsze pożądane dla krajowej ludności, i nie bez uroku dla niektórych turystów. Kiedy przedstawienie się skończyło, mały chłopiec po złożeniu zwykłych saalamów wybiegł, lecz muzyka grała dalej, i derwisz trzymając torbę z wężami stanął przed Mrs. Armine.

Po raz pierwszy wlepił w nią swoje chytre, dzikie i zakrwawione oczy, jak gdyby chciał ją zahypnotyzować, lub przejąć śmiertelnym strachem. Ona patrzała na niego uważnie i spokojnie, i wyciągnęła rękę wskazując, że chce dotknąć się wężów. Derwisz, nie spuszczając z niej oczu, przysunął torbę, dziwny zapach, jakby jakiegoś okropnego oleju doszedł jej nozdrzy. Zawahała się chwilę, poczem zdjęła rękawiczki. położyła je na otomanie, wstała i zanużyła prawą rękę w torbę, zamykając przytem oczy. Zamknęła je, dla większego rozkoszowania się no wem zupełnie wrażeniem.

Ręka jej natrafiła na suche, kłębiące się stworzenie, które zwolna ujęła. Otworzyła oczy, i zobaczyła, że trzyma czarnego węża z ciemnemo-żółtemi plamami, skręcił się chcąc uciec, lecz go nie puściła, po chwili uspokoił się, i patrzał na nią gorączkowemi, złemi oczami, podobnemi do oczu świadomego zbrodniarza, który żalu nigdy nawet nie zrozumie. Patrzała w te oczy i uczuła sympatyę dla tego stworzenia. Powoli, przyciągała je ku sobie coraz bliżej, i bliżej, aż wyśliznął się z jej ręki, i spadł na jej kolana. Derwisz ciągle stał przed nią, lecz wyraz jego twarzy się zmienił, przestał być hypnotyzujący i straszny, a natomiast głęboko obserwujący. Barondi siedział nieporuszony na otomanie, przenosząc swój wzrok z Mrs. Armine na węża, to znowu z węża na Mrs. Armine. A ona widząc, że uwaga obu mężczyzn jest na niej skoncentrowana, czuła się szczęśliwą i swobodną. Wąż okręcił się około niej, a przylgnąwszy do jej stanu, zwrócił górną część ciała w stronę derwisza, wyciągnąwszy język, który zamigotał jak płomień na wietrze. Podnosił się i opadał kilka razy, rytmicznie, w takt muzyki, jakby się zabierając do tańca, poczem cofnął się, i zaczął się zwracać to w jedną to w drugą stronę, z prawie wstrętną giętkością. Muzyka urwała, i nastała chwila pauzy. Wtem gwałtownym ruchem, jakby pod wpływem zazdrości, której nie mógł już powstrzymać, derwisz chwycił węża, poniżej głowy, i oderwał go od Mrs. Armine. Straszny wyraz powrócił na jego twarz, w połączeniu z chęcią zemsty. Przyciskając palce do grzbietu gadu, zdawał się wpadać w szał, wyprawiając najdziksze kontorsye. Poczem schylił głowę, otworzył usta, z których toczył pianę, i odgryzł wężowi głowę. Odrzucił ciało jadu, które jeszcze skręcało się jak żywe, poruszał szczękami, i zwróciwszy się do Mrs. Armine, otworzył szeroko usta, żeby pokazać że próżne, podniósł torbę z podłogi, i wybiegł z pokoju. Ona stała i patrzała na leżący tułów u jej stóp na dywanie.

— Zabierz to — rzekła do Barondiego.

Podniósł go, podszedł do okna i wyrzucił do ogrodu, poczem wrócił i stanął przy niej.

— Co za bydlę — zawołała.

Mówiła z gniewem. Kiedy derwisz chwycił i zabił węża, miała wrażenie, że ją samą atakuje i znieważa. Nawet teraz po jego odejściu to uczucie jej nie opuszczało napełniając ją gniewem, któremu pragnęła dać ujście.

— Jak pan mógł pozwolić temu bydlęciu to uczynić? — zawołała zwracając się do Barondi'ego. — Jak pan mógł spokojnie na to patrzeć?

— Ależ on przyszedł tutaj, żeby to uczynić! On jest jednym dahadijah.

— Czy uczyniłby to nawet wiedy, gdybym węża nie wzięła?

— Bezwątpienia.

— Nie wierzę temu. Uczynił to, ze złości, że wąż nic złego mi nie zrobił, że pozwolił się wziąść.

— Jak pani chce — rzekł — o co właściwie chodzi?

Spojrzała na niego i usiadła. Wyraz jego oczu wyraz, którego jeszcze nie widziała utagodził ją. Czy został wywołany jej odwagą z wężem? Zapytywała się czy swym impulsywnym postępkiem, nie uchwyciła w nim czegoś, co do tej pory przed nią uciekało. Jednakże, pomimo, że gniew ją opuścił, uczucie osobistej zniewagi jeszcze w niej nie zamarło.

— A więc rzeczywiście są zjadacze wężów? — zapytała.

— Tak, są. Taddi.

— I ten człowiek jest jednym z nich? Lecz mu się mój postępek nie podobał.

— Co do mnie tego nie powiem.

— Nie?

Wrażenie, że uchwyciła w nim nową strunę wzmogło się.

— Proszę posiedzieć chwilkę spokojnie — rzekł łagodnie — a dam pani nową przyjemność i gniew pani minie, jak fale Nilu.

— Co takiego?

Oczy jego miały wyraz filuterny jak oczy dziecka.

— Proszę posiedzieć, a pani się dowie.

Wyszedł z pokoju, i za chwilę wrócił, niosąc spore pudełko owinięte srebrzystym papierem. Przyszło jej na myśl, że ofiaruje jej nowy podarek, może jakie wspaniałe klejnoty. Rozwinął starannie papier, i ukazała się grająca szkatułka. Postawił ją uważnie na stoliku nakręcił i Mrs. Armine usłyszała melodję z jakiejś zapomnianej już opery Auber'a *„zejdź nad oświecone księżycem morze"*.

Nagłe przejście z dzikiej atmosfery Taadi, do tej mdłej sentymentalności, wyprowadziło nerwy Mrs. Armine z równowagi.

— Oh! Barondi! — zawołała.

Wargi jej zaczęły drżeć, odwróciła głowę, wysiłek żeby się nie zdradzić histerycznym śmiechem, w połączeniu z chęcią dogodzenia temu wielkiemu, barczystemu dziecku dusił ją; muzyka ustała.

— Proszę zaczekać chwilkę — usłyszała.

Głos jego był poważny, jak zachwyconego dziecka.

„Parigi o cara!" zaczęła znów katarynka. Mrs. Armine zapanowała nad sobą i zwróciła się do Barondi'ego. Na jego męskiej, śmiałej twarzy, był uradowany wyraz chłopięcia. Patrza a na niego i jej nawpół czułe rozbawienie znikło i znowu. jak w willi Andrond przemknęła ją bojaźń. Sprzeczności w tym człowieku, połączone z jego wspaniałą urodą czyniły go dla niej nieprzezwyciężenie ponętnym. Przed kilku minutami, kiedy mówił o śmierci był tajemniczym i poważnym fatalistą. Teraz był rozkosznem głupiem dzieckiem pod postacią pięknego mężczyzny. — Grająca szkatułka zaczęła *„Salve Dinora"*.

— Czy pani się czuje lepiej? — zapytał.

Skinęła głową.

— Kupiłem to w Neapolu.

Podniósł szkatułkę swemi silnemi, brunatnemi rękami, i przybliżył ją do niej. Twarz jego nie zdradzała najlżejszego podejrzenia, że Mrs. Armine może być rozbawioną w sposób ironiczny. Było widocznem, że miał głębokie przekonanie, że jest równie zachwyconą jak i on sam.

— Pani będzie tak lepiej słyszała.

Skinęła znowu głową, poczem:

— Proszę ją zbliżyć zupełnie do mego ucha — rzekła szeptem, ze wzrokiem w nim utkwionym.

Wykonał jej życzenie, przyczem ręka jego dotknęła jej ucha. Uczuła ją ciepło i westchnęła. *„Salve Dinore"* skończyło się.

— Jeszcze jedno -- rzekła.

I powtarzała to „jeszcze jedno" dopóki cały repertuar szkatułki się nie wyczerpał, i znowu dało się słyszeć *„zejdź nad oświecone księżycem morze"*.

Rękawiczki jej leżały obok na otomanie, lecz nie tknęła ich, nawet aż upał się zmiejszył i grająca szkatułka oddawna umilkła.

— Muszę wracać — rzekła wreszcie.

Podniosła ręce do rozrzuconych włosów.

— Doprawdy muszę. — Spojrzała na zegarek i wstała.

— Strasznie późno, gdzie jest Ibrahim? Uśmiechnięta twarz Ibrahima ukazała się za oknem.

— Przyprowadź osła, zaraz przyprowadź mi osła.

— Wszystko, czego pani sobie życzy, mieć musi.

Skinął głową, jak gdyby potakując samemu sobie i patrzał w dół.

— Hanza gotów, bardzo dobry poganiacz osłów.

— To dobrze, zaraz schodzę — rzekła.

Ibrahim skłonił się ciągle uśmiechnięty, Mrs. Armine podeszła do okna i wyjrzała.

Zachód słońca się zbliżał. Nadziemska promienność właściwa tej porze w tym czerwonym kraju, oblała dom i otaczający go pomarańczowy ogród. Sucha z emia na ścieżce płonęła łagodnym blaskiem. Cienkie pnie drzew nabierały tajemniczości, a liście i skarby których strzegły zdawały się pełne tajemnych obietnic. Ptaszki, gnieżdżąc się na gałęziach śpiewały chwałę Bożą.

Mrs. Armine patrzała, słuchając śpiewu ptaków. Słońce zaszło. Nastała pora pierwszej modlitwy. Nie chciało się jej odchodzić, nie chciała tak silnie, że była tem prawie przerażoną. Pragnęła pozostać tutaj, w tym samotnym domu.

Usłyszała znowu daleki głos fellaha, napominający żeby wracała... A może przeciwnie, może mówił jej żeby została? To dziwne, jak jej dawna namiętność, która przeistoczy a jej życie, zawładnęła nią znowu w tym kraju. Z początku próbowała walczyć, lecz wkrótce, dała za wygraną, i stała się jej jeńcem, niewolnicą. Wtedy była młodą. Teraz była zdolną zrozumieć, o ile los takiej nie młodej już niewolnicy musi być okropniejszym... Znowu fellah wołał z nad Nilu, i wydało się jej, że ten głos z pewnością ostrzegał ją, że musi póki jeszcze czas, wyrwać się z rąk Islamu, póki jeszcze czas!

Głos fellaha umikł w oddali, i Mrs. Armine poruszyła się z intencyą wydostania się z tych niebezpiecznych rąk, kiedy w pobliżu, wśród pomarańczowych drzew ukazał się Hanza. Rozesłał jakiś płaszcz na ziemi, złożył ręce, pochylił się w kornej postawie, i zaczął się modlić. Z przyległego pokoiku, doszedł Mrs. Armine cichy szept, odwróciła się i ujrzała modlącego się na dywanie Barondi'ego, z twarzą zwróconą w stronę Mekki.

Ona w nic nie wierząc, była otoczoną modlitwą, czuła, że chwila jej ucieczki minęła, że ją zmarnowała, że ręce, które ją chwyciły już nie wypuszczą, aż — co? — Nie odpowiedziała na to pytanie, lecz kiedy fellah znowu się odezwał w oddali, zdało się jej, że słyszy dziki tryumf w jego głosie.

XXI.

W tydzień później, Mrs. Armine otrzymała następujący telegram:

— Wyjeżdżam dziś wieczorem, przyjadę jutro rano, serdeczności — Nigel.

Oczekiwała takiej wiadomości; wiedziała, że musi nadejść; a jednak kiedy Hassan przyniósł jej depeszę, do ogrodu, w którym siedziała, uczuła jakby cios w nią ugodził.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika tygodniowa

Wychodząc z zasady, że, gdy góra nie chce sama przyjść do Mahometa, ten się musi do niej pofatygować (jeżeli mu naturalnie na tem zależy...), nie doczekawszy się przybycia do Redakcyi naszego referenta balowego do czwartku po Popielcu, wybrał się kronikarz do niego w odwiedziny. A uczynił to dlatego, iż sądził, że reminiscencye karnawałowe powinny być najodpowiedniejszym tematem do dzisiejszego rozmyślania wielkopostnego. Kuć żelazo powinno się, dopóki ono jest gorące, wspomnienia należy odświeżyć, zanim jeszcze zupełnie zwietrzały.

We czwartek popołudniu złożył zatem kronikarz swemu koledze oficyalną wizytę, pewny, że go w domu zastanie.

I nie pomylił się. Znalazł go nie tylko w domu, ale nawet w łóżku, choć zegar wskazywał już godzinę siedmnastą, według czasu letniego, a termometr, jak gdyby na urągowisko zegarowi, opadł, nie wiedząc prawdopodobnie o tem, że, według rozporządzenia Inspektoratu węglowego i miejskiego Urzędu zaopatrującego wybranych w kartki na opał, niedźwiedź budę swą już zburzył i wybrał się na wiosenną przechadzkę.

Na szczęście referent nasz już nie spał, zajęty był jakiemiś obliczeniami, w jednym ręku dzierżąc ołówek, w drugim zaś coś, co w pierwszej chwili wydawało się kronikarzowi jako zegarek.

— Kolega, widzę, zastanawia się nad tem, czy nie należałoby wstać... — rzucił kronikarz na powitanie.

— O, nie!... — odparł gospodarz, wyciągając dłoń.

— Myślałem, widząc w ręku zegarek!...

— To nie zegarek!... To krokomierz, z którym się w czasie karnawałowym nie rozstawałem ani na chwilę.. Doliczam właśnie do kilometrów, które przetańczyłem w karnawale, popielcowe...

— Jakto?... Więc kolega tańczył nawet i w Popielec?... I sumienie pozwoliło?...

— Nie tylko pozwoliło, ale nawet ono mi kazało!.. Jestem człowiekiem sumiennym, i, jeżeli rozpocznę jaką pracę, nie spocznę, póki jej nie doprowadzę do końca... A cóż ja temu jestem winien, że roztańczony w karnawale Kraków, bawił się i w Popielec?...

— We wtorek odbyło się przecież pożegnanie karnawału...

— Tak!.. Pożegnałem go też godnie!.., Ale na środę zapowiedziany był „śledź zawijany“ w Klubie artystów, podobny i w „Sokole“... Obowiązek mnie wzywał, choć więc nogi odmawiały już posłuszeństwa, musiałem się poświęcić. Do trzystu czterdziestu siedmiu przetańczonych w tym karnawale, przybyły jeszcze trzy kilometry, choć te, jako już wielkopostne, powinno się właściwie liczyć podwójnie. Zaraz jutro mam zamiar przedłożyć Redakcyi rachunek z żądaniem, aby mi wypłacono „kilometrowe“... To mi się należy zupełnie słusznie...

Z toku powyższej rozmowy przekona się zatem Czytelnik, że właściwy karnawał dla rozbawionych Krakowian nie wystarczył, uszczknięto nawet kawałek wielkiego postu, przeznaczonego nie na wesołości, lecz na żałosne rozmyślania i pokutę za wybryki, popełniane w karnawale. Dawniej w popielcową środę szło się w samej rzeczy do Wentzla lub Hawełki na „śledzie zawijane“ (tak zwane popularnie „Rollmopsy“...) pracowały też szczęki ludzkie, dziś i w tym kierunku wojna wywarła swój wpływ. Przy śledziu zawijanym pracują obecnie nie szczęki, lecz nogi, żołądek nie odczuwa żadnej przyjemności. Obecne śledzie popielcowe są zatem śledziami jedynie tylko *de nomine*, są zaś nie tyle „zawijane“ ile raczej „wywijane“, gdyż roztańczone społeczeństwo nie może się jakoś pogodzić z myślą, że to przecież już po karnawale i że czas już najwyższy, aby dać nogom, które się tyle w tym roku napracowały, tak zasłużony odpoczynek.

Ponieważ większość zabaw publicznych odbywa się u nas na cele dobroczynne, byłoby bardzo wskazanem, aby znalazł się jakiś statystyk, który chciałby sobie zadać trudu i obliczyć, ile też pieniędzy w czasach tak ciężkich jak obecne, dostało się z tego tytułu instytucyom dobroczynnym, a ile poszło na marne, to jest na toalety, szampany i t. d. Z zestawienia tych dwu pozycyi okazałoby się czarne na białem, że się nie opłaci skórka za wyprawę, to bowiem co zyskały cele dobroczynne, nie stoi w żadnym stosunku do tego, co obrócono na przygotowanie się do godnego wzięcia osobistego udziału w wielkiem dziele miłosierdzia publicznego. A ile z tych pieniędzy poszło za granicę, przy dzisiejszym niskim stanie naszej marki?...

Rzuca się słuszne gromy na bankierów warszawskich, którzy w celach spekulacyjnych działali na szkodę naszej waluty, ale w jednym rzędzie z nimi postawić należy tych, którzy przyłożyli rękę do tego, iż znów miliony poszły w obcą kieszeń na różnego rodzaju fatałaszki, świecidełka, smakołyki i t. p. Słyszymy naprzykład, że podczas jednej z ostatnich zabaw karnawałowych, jakiś wesoły obywatel wydał na samego szampana sto tysięcy marek i mimowoli dochodzimy do przekonania, że te nasze zabawy na cele humanitarne i dobroczynne, są właściwie urządzane na dochód różnego rodzaju lichwiarzy i paskarzy i nic też w tem dziwnego, że im ich koledzy tak chętnie spieszą z pomocą. Dzisiaj wydać sto tysięcy marek na samego szampana, może chyba paskarz lub lichwiarz, któremu pieniądze pchają się same oknami i drzwiami, a on nie wie, co z nimi począć.

W tem tylko bieda, że za tę jego zabawę płacić potem muszą ci, którzy się nie bawili.

Jak zatem dziwnie od tej naszej tańczącej dobroczynności odbija się amerykańska, robiąca wiele, ale nie tak głośno, i dlatego z wydatniejszym rezultatem. W poprzednim numerze naszego pisma wspomnieliśmy o akcyi ratunkowej Hoovera na rzecz głodnych dzieci Europy. Taka tysiąc-dolarowa uczta, podczas której za blisko pół miliona naszych marek można było dostać porcyę ryżu z odrobiną mięsa i garnuszek kakao, przyniosła też czystego dochodu ponad dwa miliony dolarów, ci zaś, którzy w niej wzięli udział, nie wydali na przygotowanie się do niej ani centa.

Gdyby nasze głodne dzieci musiały liczyć tylko na to, co dla nich „wytańczą“ dobroczynne osoby, nie żałujące nigdy nóg, o ile rozchodzi się o cel dobroczynny (a właściwie o swą zabawę...) dawno już byłyby musiały powiększyć „grono aniołków“.

W oczach świata, słyszącego ciągle nasze narzekania na biedę, ale widzącego zarazem, jak nam czasem wesoło, robimy niestety przykre wrażenie bankruta, kierującego się zasadą: „zastaw się, a postaw się...“, byle tylko ratować pozory. Prawda święta, że „jak cię widzą, tak cię piszą“, zdaje się jednak, że nam nie tylko nie zaszkodziłoby w opinii, ale nawet pomogło, że się nie bawimy, gdyż nie mamy do tego ani powodu, ani też nie stać nas na to.

Niestety, u nas żadne, choćby nawet najskromniejsze przedsięwzięcie nie może się nigdy obejść bez zupełnie niepotrzebnej wystawy, która z zasady pożera lwią część dochodów. Komitety nie liczą się z kosztami, wiedząc o tem, że to nie z ich idzie kieszeni. Im rozchodzi się tylko o to, aby się „zabawa udała“, choćby nawet instytucya, na której cel się ją urządza, nie miała z tego odnieść żadnej materyalnej korzyści. Bo i cóż przyjdzie z tego n. p. skrofulicznym dzieciom, że pani X lub Y. „wytańczyła się za wszystkie czasy“, gdy efekt finansowy balu na ten cel równał się zeru?...

Ciche miłosierdzie i świadczenia bez reklamy nie są u nas w modzie.

I niewątpliwie, gdyby ktoś u nas był naśladował Hoovera i zaproponował urządzenie na jakiś dobroczynny cel podobnej skromnej uczty, jak nowojorska, spotkałby się tu i ówdzie z wyrazami uznania, w rezultacie przecież sala jadalna świeciłaby pustkami, chyba żeby zapowiedziano, iż będzie kabaret, tańce, stroje mają być wieczorowe, a „panie proszone są o stylowe fryzury“.

Wracając jednak do referenta balowego, który ma za sobą trzysta pięćdziesiąt przetańczonych kilometrów, a nie wie co go jeszcze w najbliższej przyszłości czeka, gdyż „śledzie zawijane“, wszedłszy raz w modę, gotowe się, jako artykuł postny, częściej powtarzać, musi kronikarz przyznać, że jest to prawdziwą ofiarą zawodu i pojmowania seryo swych obowiązków.

— Zeszły mi!... — mówił słabym głosem — Zdarłem doszczętnie ostatnią parę...

— Trzewików?... — dodał kronikarz z współczuciem, wiedząc o tem dobrze, z jakiemi obecnie trudnościami połączone jest zaopatrzenie się w ten niezbędny artykuł garderoby.

— Dyabła tam!... O trzewiki mniejsza!... — odpowiedział ze smutną miną. — Nogi odmawiają mi już posłuszeństwa...

— Trzeba coś na to radzić!...

— Tak!... Lecz powiedzieć to łatwo, a wykonać trudniej!.. Po inne lata kupowałem po skończeniu karnawału flaszkę *Restitutionsfluidu* Kwizdy i wszystko było w porządku.

— Przecież to środek przeznaczony dla koni wyścigowych, nie dla ludzi...

— A jednak smarowania nim robiły mi dobrze... A dziś ani myśleć o kupieniu... Po pierwsze brak go w aptekach, po drugie, gdyby się nawet i gdzieś znalazł, kazaliby tyle zapłacić, iż biedny dziennikarz nie byłby w stanie pozwolić sobie na podobny wydatek... Z trzewikami ma się rzecz podobnie, bez nich jednak łatwiej się jakoś można obejść, niż bez nóg... Nasz kostyum przyszłości będzie niedługo zupełnie taki sam, jak ten, którego używał w raju nasz praojciec Adam. Cofnęliśmy się wstecz na innych polach, cofniemy się też i pod względem ubrania.. Na Reducie futurystów otrzymał pierwszą nagrodę za najoryginalniejszy kostyum pewien jegomość, który się zjawił na sali bez najważniejszych części garderoby. Początkowo sądzono, że się w pośpiechu zapomniał ubrać, gdy mu jednak zwrócono na to uwagę, oświadczył zupełnie seryo, że jest to „powojenny kostyum przyszłości“... Chodziło się dotąd bez kapeluszy dla mody, teraz przyjdzie kolej na trzewiki i inne części garderoby, ale już z musu...

W rezultacie dowiedział się kronikarz, że karnawał udał się w całem tego słowa znaczeniu, że bawiono się wybornie, wypito całe morze szampana (dwa tysiące marek butelka!...) toalety dam były wspaniałe, a od brylantów bił taki ogień, iż wiele par cofało się dyskretnie w zaciemnione miejsca, by oczu swych bliźnich na szwank nie narażać. Jednem słowem wszystko było *comme il faut* miało się złudzenie, że się jest w Paryżu, nie w Krakowie, i to przed wojną. Nie brakło i nadprogramowych niespodzianek, a do nich zaliczyć należy improwizowaną walkę kogutów przy bufecie szampanowym podczas jednej ze zabaw. Koguty prawdziwe są dziś bardzo drogie, zastąpili je zatem panowie, co bynajmniej nie wpłynęło ujemnie na wywołane tą walką zainteresowanie, a wielu sportowcom dało miłą sposobność do robienia wysokich zakładów, który zwycięży...

— Z jednej strony — mówił kolega redakcyjny a referent balowy — szkoda wielka, że ten karnawał taki był krótki, z drugiej jednak dobrze, gdyż wobec takich wysiłków nie byłby człowiek w stanie dociągnąć do końca... Żałuj kronikarzu, że tam nie byłeś... Opowiadania nie wystarczą, trzeba było patrzeć na wszystko własnemi oczyma i puścić w ruch własne nogi...

— Bah!... — kronikarz na to — kiedy i ja jestem w tem miłem położeniu, że używam ostatniej pary, a i ta już jest na zdarciu!...

I westchnęliśmy obaj cicho, lecz gorąco, i na tem skończył się wywiad karnawałowy, mogący w samej rzeczy stanowić temat bardzo smutnych wielkopostnych rozmyślań.

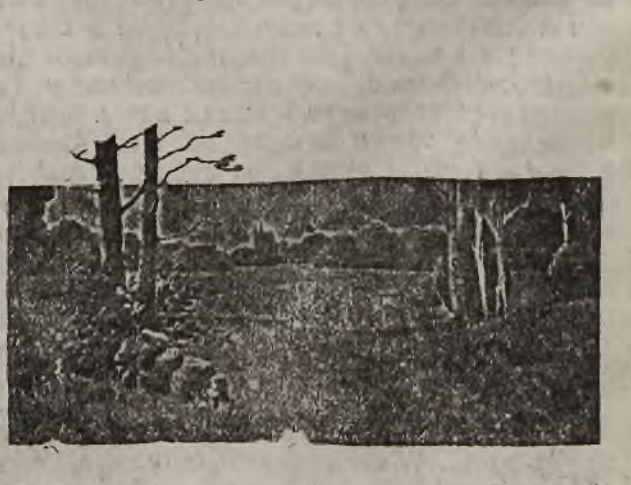
Każdy medal ma też i swą odwrotną stronę, musi ją zatem mieć i karnawał. Kronikarz należy do rzędu tych, którzy się nie bawili, jest zatem zdania, że bez karnawału i to do tego tak hucznego, jak obecny, można się było obejść, byłoby to nawet połączone dla ogółu z korzyścią, nie brak jednak i takich, którzy twierdzą, że jest to bardzo mądry wynalazek i tylko żałować należy, że jest tak krótki.

Głosy te słyszy się z kół kupieckich i przemysłowych, robiących na karnawale bardzo dobre interesy. Miliony przeszły w tym okresie przez ich kasy, niestety, przeważnie za granicę, sporo jednak grosiwa zostało w kieszeni.

Ma też karnawał swoje znaczenie, jako jarmark małżeński. Rok cały czekają żądni i żądne więzów Hymenu na sposobność „wytańczenia“ sobie przyszłości, gdyby zatem nie mogły się z jakiegoś powodu odbyć te doroczne „przeglądy“ kandydatek i kandydatów do stanu małżeńskiego, społeczeństwo poniosłoby szkodę.

Musimy się zatem pogodzić z przykrą koniecznością i powiedzieć sobie, że bez karnawału się nie obejdzie, jeżeli zaś kto narzeka, że za tę zabawę innych musieliśmy zapłacić, choć się sami nie bawiliśmy, niech nas pociesza, że w ten sposób dopomogliśmy innym, a obowiązkiem naszym przecież pomagać sobie wzajemnie w miarę sił i możności.

W okresie szału karnawałowego, gdy każdy miał głowę zaprzątniętą zabawą, nie było czasu na myślenie o kłopotach, jakie każdemu, nawet i wojennym milionerom, dolegają, a i to nie jest bez znaczenia, *ergo* trzeba się pogodzić z tem, że i karnawał ma swoje dobre strony, choć może nie dla wszystkich.





Ameryka przeciw komunistom: „Czerwony car“ Rosyi Lenin w swym prywatnym gabinecie na Kremlu w Moskwie.

Ameryka przeciw komunistom.

Odkrycie Ameryki stało się dla starego świata początkiem nowej ery. Warunki życia w nowo odkrytej części świata okazały się dla ludności Europy tak odpowiednie, a nawet nęcące, iż niezwłocznie rozpoczęła się masowa emigracya za Ocean. Jednych ciągnęła tam żądza zdobycia majątku, innych chęć szukania przygód, z czasem, gdy się Ameryka już prawie zupełnie została zeuropeizowaną, spieszono tam za pracą. Nie brakło też i takich, którzy szukali tam schronienia przed karzącem ramieniem Sprawiedliwości, nie sięgającem tak daleko.

Stała się też Ameryka, zwłaszcza zaś dzisiejsze Stany Zjednoczone, prawdziwą ziemią obiecaną dla tych wszystkich, dla których pobyt dłuższy na „starym świecie“ stał się niewygodny lub niebezpieczny.

Stany Zjednoczone, zwłaszcza od czasu ostatniej wojny, stały się mocarstwem, dyktującem swą wolę całemu światu, zależnemu dziś od nich pod każdym względem.

Rząd Stanów uważa też bacznie na swą godność i stara się usilnie o to, aby sobie zapewnić wewnętrzny porządek, będący głównym warunkiem dobrobytu i znaczenia na zewnątrz. Mając też już zupełnie odpowiednie zaludnienie, a nie pragnąc bynajmniej powojennych nabytków z Europy, utrudnia też coraz bardziej immigracyę, w trzymając ją nawet na dłuższy szereg lat. Neo Amerykanie powiadają sobie, że „Ameryka dla Amerykanów“ i nie mają ochoty bynajmniej zarobkiem swoim wojennym dzielić się z tymi, którzy właśnie dzięki owej wojnie utracili swe mienie.

Nie życzą też sobie, by na ich ziemię miały się przeszczepić nowe kierunki przewrotowe, jak n. p. komunizm, tak niebezpieczne dla porządku wewnętrznego, będącego nieodzownym warunkiem dalszego spokojnego rozwoju amerykańskich interesów. A nęci ich wolność amerykańska i radziby tam rozwinąć swą działalność. Tego obawia się zaś Ameryka, mając już dość kłopotu ze swymi anarchistami i dlatego z całą energią prawo rządnego organizmu państwowego występuje przeciw wszelkim komunistycznym zakusom, aresztując członków przewrotowych organizacyi i odsyłając nie posiadających obywatelstwa amerykańskiego z powrotem za Ocean.

Amerykanin ceni wolność, nie pojmuje jednak takiej, jaką oni mu niosą. Obawia się zresztą o swe interesy, które, przy zaprowadzeniu nowego porządku byłyby bardzo poważnie zagrożone. Amerykanin jest zaś człowiekiem przedewszystkiem praktycznym i na pierwszem miejscu stawia interes. — Z tego powodu europejscy komuniści nie znajdą za Oceanem odpowiedniego terenu celem rozwinięcia swej działalności. Amerykaninowi wystarczy wolność i swoboda, jaką ma, nowej — a do tego o bardzo wątpliwej wartości — bynajmniej nie pragnie.



Ameryka przeciw komunistom: Wydaleni z Ameryki komuniści wsiadają na okręt w porcie nowojorskim.

Bojowniczka o prawa kobiet

Miss Emilia Pankhurst należy do najbardziej może znanych w całym świecie osobistości z pośród angielskiego społeczeństwa. Nazwisko jej, jako nieustraszonej a bardzo energicznej rzeczniczki równouprawnienia kobiet, odbiło się głośnem echem po obu półkulach, przykład jej pociągnął za sobą wiele naśladowczyń. Lat temu dziewięć wstecz był to prawdziwy postrach angielskich ministrów i mężów stanu, prawdziwa plaga londyńskiej policyi, której członkowie nosili bardzo często na swych twarzach bolesne ślady „ręcznej pracy“ kobiet, upominających się o swe prawa.

Matka i córka cały swój zapał i energię włożyły w przeprowadzenie równoupr. wnienia kobiet, nie cofając się przed najdrastyczniejszymi nawet środkami, mającymi je doprowadzić do celu. Dla nich nie istniały żadne przeszkody, przerywały kordony policyjne, wyłamywały drzwi, nie odstraszały ich płoty. Ostatecznie dopięły swego. Kobiety w Anglii mają dziś czynne i bierne prawo wyborcze, a zdobycie jego zawdzięczają głównie miss Pankhurst i jej energii, z jaką występowała zawsze w obronie swej dewizy *Wotes for women*. W angielskiej Izbie gmin zasiada już poseł rodzaju żeńskiego, lady Aster.

Miss Pankhurst, wywalczywszy dla kobiet należne im prawa, nie zerwała przecież z życiem politycznem, jak bowiem doniosły pisma amerykańskie, bawiła niedawno w Nowym Jorku, gdzie występowała jako orędowniczka zbliżenia angielsko-amerykańskiego. Stąd miała się udać do Kanady, również w celach agitacyjnych. W rozmowie z wybitnymi Amerykanami oświadczyła się jako zdeklarowana przeciwniczka komunizmu, interpelowana zaś o zapatrywania w sprawie irlandzkiej, wyraziła zdanie, że powinna ona być załatwioną bez potrzeby odrywania się Irlandyi od Anglii.

Dla sprawy równouprawnienia kobiet angielskich położyła miss Pankhurst bezsprzecznie ogromne zasługi, dziwnie też brzmią notatki pism angielskich, że w Londynie pojawiły się ogłoszenia: „Ponieważ walka o sprawę politycznego wyswobodzenia kobiety, obecnie już zwycięzko zakończoną została, poszukuje miss Pankhurst jakiejś innej niepolitycznej działalności, przynoszącej umiarkowane wynagrodzenie“. Dziennikarski sprawozdawca, który ją po tem ogłoszeniu odwiedził, otrzymał potwierdzenie, że miss Pankhurst wobec swej niezamożności zmuszona jest zarabiać na życie i poszukuje jakiego zajęcia. „Dwadzieścia lat mego życia — oświadczyła miss Pankhurst — poświęciłam sprawie kobiet, nie myśląc o własnej przyszłości, ani żądając dla siebie bodaj grosza wynagrodzenia, bo wszystkie napływające na moje ręce pieniądze obracałam wyłącznie na propagandę“.

Jeżeli nie jest to zwykłą kaczką dziennikarską, powinny kobiety angielskie pospieszyć z pomocą bojowniczce o swe prawa i postarać się o zapewnienie jej spokojnej starości. Na to sobie chyba zasłużyła.

Morderstwo na tle erotycznem.

W bieżącym tygodniu rozegrał się przed krakowskim Trybunałem sędziów przysięgłych epilog głośnej swojego czasu w naszem mieście sprawy wyrzucenia przez okno z czwartego piętra pałacu pod „Jagnięciem“ Rozalii Pałkówny. Nieszczęśliwa poniosła śmierć na miejscu, sprawcą morderstwa był lokaj u hr. Potockich Józef Mazur.

Oskarżony, człowiek czterdziesto-siedmio letni, żonaty, ojciec kilkorga dzieci, zapałał ku pięknej Rózi Pałkówny, służącej w tym samym domu, gorącym afektem. Następstwem tego zbliżenia było oziębienie stosunku między Mazurem a jego rodziną zamieszkałą w Krzeszowicach. Mazur szukał stale towarzystwa Rózi, uczęszczał z nią stale na przechadzki i do kina, a ona choć miała narzeczonego chętnie te umizgi przyjmowała.

Gdy w maju ubiegłego roku zarząd pałacu polecił Mazurowi wyjazd do Krzeszowic, ten się temu oparł, ostatecznie przecież podlać się musiał rozkazowi.

W krytycznym dniu gdy to miało nastąpić, Mazur był jakoś nieswój i niespokojny, od ludzi stronił, popołudniu zaś udał się do pokoju, w którym zamieszkiwała Pałkówna. Co wówczas między nimi zaszło, tego nie wykazała rozprawa, z zeznań Mazura wynikałoby, że obydwoje nie mogąc przenieść rozłączenia, postanowili zakończyć życie samo-



Bojowniczka o prawa kobiet: Głośna angielska sufrażystka Miss Emilie Pankhurst.

bó czą śmiercią przez rzucenie się z czwartego piętra na bruk Rynku. W tym celu siadła Palkówna w otwartym oknie, on zamierzał uczynić to samo. Nim to miał czas uczynić, ona straciła równowagę i runęła w dół, jemu, jak twierdzi, brakło sił do do wykonania pierwotnie powziętego zamiaru. Spokojnie zeszedł na dół, spojrzał na leżące w kałuży krwi zwłoki nieszczęśliwej ofiary bez większego wzruszenia i udał się na inspekcyę policyjną, gdzie o zaszłym wypadku.

Zdaniem innych Mazur człowiek rosły i silny, wyrzucił Rózię przez okno, poczem miał sam pójść w jej ślady, w ostatniej chwili powstrzymał go od tego żal za życiem.



Morderstwo na tle erotycznym: Ofiara morderstwa Rozalia Palkówna.

Po przeprowadzonej rozprawie uznał Trybunał Mazura winnym zbrodni zabójstwa i skazał go na cztery lata ciężkiego więzienia.

Eksploatacya lasów afrykańskich.

Początek eksplotacyi leśnej w Afryce podzwrotnikowej sięga epoki kolonizacyi wojskowej. Wówczas nie odbywano jej prawie wcale, dopiero znacznie później rząd francuski zajął się tą sprawą, wysyłając misyę Bertina, w celu poznania właściwości afrykańskich. Ustanowiono dokładne klasyfikacye na Wybrzeżu Kości słoniowej i Gabonii, odnosiła się ona do pięćdziesięciu gatunków drzew, z których zaledwie z dziesiątek jest eksploatowany.

Kosztowne gatunki zupełnie wyniszczono, to też

Zwierząt pociągowych w Afryce niema, murzyni wożą wszystko. Kilka koni i wołów, które próbowano zaklimatyzować, po ukąszeniu przez muchę tsetse, padło na śpiączkę.

W celu zabezpieczenia się przed tyloma trudno.



Eksploatacya lasów afrykańskich: Murzyni zajęci przy obrabianiu drzewa.

wyrąb lasów uregulowano w ten sposób, że pod karą utraty koncesyi udzielonej odnośnemu osobnikowi, nie wolno ścinać drzew poniżej pięćdziesięciu centymetrów obwodu.

Pomimo wielkiej pracowitości kolonistów eksploatujących lasy afrykańskie, w dwudziestej części nie są w stanie zaspokoić wymagań rynków francuskich, gdyż prawie całkowitość ściętych i sprzedanych drzew jest skierowana na rynki angielskie.

Zastępy pracowników rekrutuje się w głębi kraju, aż do odległości 500 do 600 kilometrów od wybrzeża i potrzeba dwustu do dwustu pięćdziesięciu murzynów. chcąc, aby koncesya na 25 klm. kwadratowych przynosiła 600 ton drzewa miesięcznie.

O óż praca murzynów, którzy 20 lat temu znajdowali się prawie w stanie niewolnictwa, emancypuje się obecnie i trudno bardzo ją znaleźć. Murzyn z natury leniwy, mając jakieś oszczędności, staje się natychmiast plantatorem, wystarcza sobie i już nie pracuje. Dodajmy do tego znaczne koszta utrzymania robotników, co sprawia wielką niedogodność, jeśli się chce mieć ich większą ilość.

ściami, niektórzy eksploatorzy robią próby z różnemi maszynami.

Przyznać trzeba, że dla Europejczyka w szczególności ciężka jest praca w okolicach podzwrotnikowych. Las broni się ostro, przeciwstawiając drwalowi mur zielony utworzony z poplątanych lian różnego gatunku, tak że wśród tej wspaniałej roślinności zaledwie krok za krokiem można się posuwać, z rodzajem pałasza w ręku. Zbliżenie się do każdego drzewa, rozpoznanie go wymaga wiele czasu i trudu. Następnie z powodu olbrzymich korzeni, zniekształcających ich pień trzeba je ścinać na dwa lub trzy metry nad ziemią, co nie ułatwia pracy. Ścięte nakoniec te olbrzymy, układają w kłody długie na sześć metrów, które ładują na sanki bardzo płaskie, z twardego drzewa.

Zastępy murzynów od stu do stu pięćdziesięciu ludzi ciągną te sanie po drogach pokrytych polanami, a prowadzących do rzeki, lub do drogi najbliższej. Kłody przywiezione do rzeki, ładują na tratwy, a w okresie silnych deszczów, spuszczają na morze.

Zanim atoli dostaną się na wodę, aby mogły utrzymać się na powierzchni, większość ich przechodzi długi okres schnięcia. Obdarte z kory, oczyszczone, tracą soki i ciężar ich zmniejsza się znacznie. Niektóre gatunki, których metr kubiczny waży zrazu 1 00 kilogramów, po wyschnięciu ważą 700 do 800 kilogramów.

Jakkolwiek licznemi są trudności eksploatacyi lasów podzwrotnikowych, nie są one wszakże niepokonane. Odwaga, wytrwałość, inicyatywa, a zwłaszcza zastosowanie praktyczne metod i materyałów nowoczesnych, ułatwiają niezmiernie zadanie kolonisty.



Eksploatacya lasów w Afryce: Przygotowanie tratw przeznaczonych do transportu drogą wodną.

Od Wydawnictwa!

ROK 1920., będący XVII. rokiem naszego wydawnictwa, zamykamy z tem wewnętrznem przekonaniem, że należycie wywiązaliśmy się, w miarę możności i panujących obecnie stosunków, z ciążącego na nas zadania. A tem było, jest i będzie i w dalszym ciągu informowanie P. T. Czytelników o najaktualniejszych zdarzeniach, z szczególniejszem uwzględnieniem naszego życia narodowego, dawania lektury zdrowej i pożytecznej.

Że nam się to powiodło, świadczą o tem liczne pisma z uznaniem, jakie stale otrzymujemy. Nie brak wprawdzie i narzekań na różne braki, które i my sami uznajemy i staramy się je o ile możności usunąć, ci jednak, którzy z podobnymi zarzutami występują, widocznie nie zdają sobie z tego sprawy, że pracować nam przychodzi w warunkach zupełnie innych, niż były przedwojenne.

Rok 1920. zawiódł najzupełniej wszelkie nadzieje i oczekiwania. Stosunki nie tylko nie poprawiły się, owszem w ostatnich zwłaszcza czasach tak się pogorszyły, że kraj zdaje się stać nad brzegiem przepaści, od runięcia w którą chyba cud może go uratować. Ta sytuacya odbić się musiała zatem na całem życiu społecznem, więc i prasie w ogólności, w szczególności zaś na tak kosztownem wydawnictwie, jakiem są *Nowości illustrowane.*

Drożyzna najniezbędniejszych artykułów, z których niektóre podskoczyły w cenie nawet i *pięćsetkrotnie*, podwyższenie płac personalu Redakcyi, Administracyi i Zakładów technicznych, zwiększenie opłat kolejowych i pocztowych i t. d. zmusiły nas do podniesienia ceny prenumeraty, czyniliśmy to przecież bardzo oględnie, o tyle tylko, aby pokryć najkonieczniejsze wydatki i nie dopuścić do deficytu.

Przytem odpadła nam bardzo ważna i pokaźna rubryka dochodów: dział inseratowy. Nasi Kupcy i Przemysłowcy wychodzą z założenia, jedni, że nie mają co reklamować, gdyż towaru im brakuje, drudzy, którzy mają go dość na składzie, że się bez tego obejdzie, gdyż Publiczność prosi się, aby jej coś sprzedać.

Praca wydawnicza w tych warunkach, to zadanie bardzo ciężkie, nie opuszczamy przecież rąk i z otuchą w lepszą przyszłość stajemy do dalszej pracy, pewni, że ogół polskiego społeczeństwa nie odmówi nam swego poparcia, jako **jedynej w Polsce aktualnej ilustracyi**, o piętnie wybitnie narodowem. Pracujemy dla dobra społeczeństwa polskiego, nie dla robienia interesu, nie służymy żadnym partyom, mamy też prawo poparcia tego się spodziewać. Rozszerzanie *Nowości illustrowanych* w kołach swych Znajomych, to obowiązek każdego Polaka, któremu dobro polskiej prasy leży na sercu.

My ze swej strony dołożymy wszelkich starań, aby pomimo nadzwyczaj trudnych warunków, *Nowości Illustrowane* mogły stanowić dla Czytelników i nadal pożyteczną i przyjemną rozrywkę. Siódmy rok wojny się kończy. Po siedmiu „chudych" latach nadejdą może „tłuściejsze", stosunki się poprawią, a wydawnictwo będzie mieć ułatwione zadanie. Nadzieja lepszej przyszłości dodaje nam otuchy i siły, wyrozumiałość Czytelników dokona reszty. Da Bóg, w niedługim już może czasie wrócą *Nowości Illustrowane* do pierwotnych rozmiarów, poprawi się też i strona techniczna pisma, cierpiąca dziś wiele z powodu fatalnej jakości nabywanych za wprost bajońskie ceny materyałów. W tece redakcyjnej posiadamy kilka bardzo ciekawych powieści, które niewątpliwie zainteresują ogół Czytelników tak żywo, jak obecnie drukowane. Dołożymy też starań, aby dobór materyału aktualnego odpowiadał zawsze jak najdalej posuniętym wymaganiom.

Z otuchą zatem i wiarą w lepszą przyszłość zaczynamy XVIII. rok naszego istnienia.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Okienko.

Ułożył K. B., z Andrychowa.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

```
a  a  a  a  b
e     i     i
ł  ł  n  n  n
o     o     r
r  t  t  y  y
```

Znaczenie wyrazów: 1. Miejscowość w Galicyi zachod., 2. Jedna ze stolic europejskich, 3. Starożytny poeta grecki.

Grzebieniówka.

Ułożył S. Sokołowski, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy nazwisko greckiego polityka:

```
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
—   —   —   —   —
—   —   —   —   —
—   —   —   —   —
```

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej zakaz, 2. Król rzymski, 3. Litera grecka, 4. Inaczej związek 5 Dopływ Wisły.
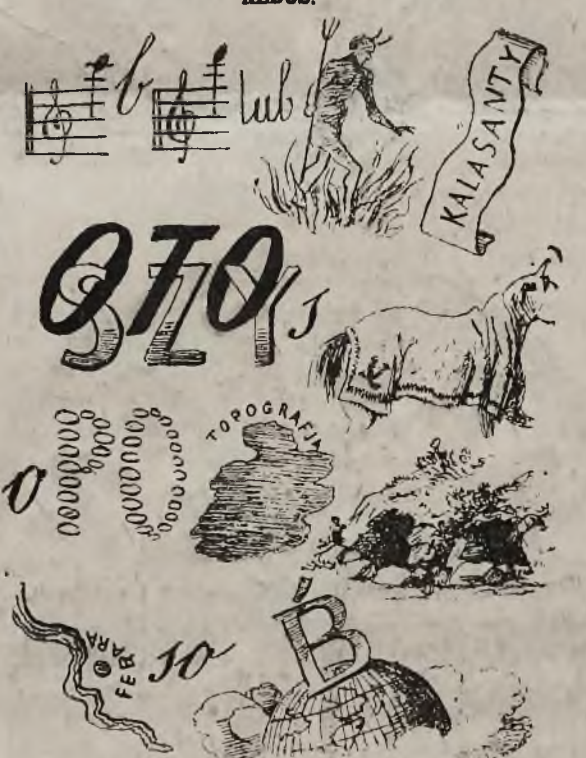
Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył A. Lisowski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, c, e, ę, f, i, k, ł, m, n, o, o, o, r, s, t, t, u, y, z.

REBUS.



Kwadrat magiczny.

Ułożył J. B, Włocławek.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

```
a   a,  a   a,
g   l,  m,  m
m,  n,  o,  o,
o,  o,  r,  r.
```

Znaczenie wyrazów: 1. Litera greska, 2 Bożek rzymski, 3. Wybrzeże morskie (obcy wyraz), 4 Postać biblijna.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) „Czarna perełka" (powieść); 2) Kalendarz familijny na r. 1921.

Rozwiązanie zagadek z Nru 6

Szarada: Popielec.

Rebus: Przy cierpliwości i staraniu wiele człowiek dokonać może.

Trójkąt magiczny: Karnawał, Ameryka, Rejtan, Nervi, Apis, wąs, ar, ł.

Zadanie do przestawienia: Smiałków psy gryzą.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: M. Nowicki Kraków, J. Bielawski Rzeszów, J. Jabłoński Lublin, Z. Zawadzki Wadowice, S. Zajączkowski Poznań, S. Sokołowski Lwów, S. Zakrzewski Sandomierz, S Sygowska Rzeszów, S. Grabowski Wadowice, H. Walewska Kraków, J. Martynowicz Kraków, M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, H. Malinowska Rzeczyce, W. Dutkiewicz Przemyśl, M. Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, H. Zamocka Stanisławów, W. Switowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, K. Dębicki Sambor, K. Lipski Wiedeń, M. Mańkowska Warszawa, K. Wacławik Łódź, S. Balicki Radom, W. Raczyński Kraków, K. Borkowski Kraków, W. Śmieszek Lublin, J. Opolski Łódź, S. Piekarski Poznań, M. Wysocka Jasło. J. Martynowicz Lwów, H. Galińska Tarnów, W. Rozwadowski Poznań, M. Wacyk Lwów, M. Więckowski Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, K. Grzybowski Kraków. S. Zajączkowski Rzeszów. W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Gross Tarnów M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, M Antosz Lwów, J. Jagodziński Nowy Sącz, J. Walicki Poznań, R. Cielicka Łódź, J. Polek Lwów, S. Nowacki Lwów.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) S. Zajączkowski, Poznań (książka), 2) H. Walewska, Kraków (Kalendarz). Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Sarbeszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.